

Łukasz Jarosz

Święto żywych
(2006-2016)

Biuro Literackie ♦ Stronie Śląskie – Wrocław 2016

Koła. Powroty

Dziecięce wyobrażenia śmierci. Kuzynka ubiera się na białe,
podwija powieki, zapala świecę. Straszmy się w tunelu
rzuconym pod drogą, na końcu którego w martwego psa wchodzi
nowe życie. Przerażony, w szeleście liści, w świetle czerwca,
mijając brzęczący brzuch pasieki, pędzę na rowerze oglądać
rozpalane
na łąkach sobótki, czarny dym z płonących opon. Koła powtarzają
powroty, za płotem ujadanie hebanowego podniebienia.
Potem śmierć przychodzi naprawdę. Światy zaczynają się stykać,
wszystko, co napisane w książkach, przestają traktować poważnie.
W środku krzyżują się Drogi, o których myślałem, że znaczą
coś więcej, wtedy, gdy serce miałem jak dezodorant w ognisku.
Stoję pośrodku dzikiego boiska. W oddali gwizdy, wołania.
Wokół, popękana jak pięta, przegryziona przez słońce ziemia.

Symetria

Mróz unieruchomił miasto. Zastygły gałęzie,
w powietrzu zawisły dymki – białe oddechy.
Minęliśmy podwórze, spojrzeliśmy w puste oczy
domu naprzeciw. Ręką pokazałem ci miejsce

wśród drzew, gdzie będę leżeć, później w ciepłe
kroiliśmy przyniesione z balkonu, zmarznięte mięso.
Dogasał dzień. Nad dachami dygotało bielmo nieba,
za ścianą zakaszłała płuczka, sąsiad krzykiem

ostrzył psa. Na palcach liczyliśmy naszych wrogów;
poukrywani budzili się, by łaknąć. Przed lustrem
cierpliwie wyjmowałem wtopiony w mydło włos.
Zamknąłem usta i powieki. A w środku wyło i wyło.

Przystanie

O tej porze zostają z nami sękaty,
tłuste ptaki. Huśtają je gałęzie, źrenice horyzontu.
Na razie jestem na tym piętrze
siebie. Wpatruję się w większe od moich ust
pękate owoce. Czy kogoś zraniłem?
Kogoś się zapałem? Nie. Nazywałem to odejściem.
Ciszą, gdy chodzi się na palcach, by nikogo nie zbudzić.
Nie wiedząc, że dom jest pusty.

Napój cienisty

Budzę się i zapisuję te słowa.
W ciemności pisze głodna ręka,
zapisuje ciemność.
W ciemności ręka dotyka ciała:

śniłem.

Mijałem posypane piaskiem
schody uniwersytetu,
woźnica wymachiwał batem.
Dziecko, które niosłem na wzgórze,
usnęło na moich plecach.
W dole ciemniały chaszczce,
płaski wąż zrzucił skórę.

Mnie również nie było,
bo nie byłem wśród żywych.
I wszystko stawało się obce.
I słone kopyta,
i pachwiny miękkie.

[siedzimy sztywno przy stole]

siedzimy sztywno przy stole
jak przed podróżą
między nami wiele drobiazgów

rzeka w której zanurzałem ciało
miejsce nad potokiem
gdzie goliłem się
szybko i niedokładnie
stał na skórze

teraz jestem tutaj
przed tobą
ręką gładzę wytarte śliskie drewno

Opowiadanie starego sąsiada

Las wisiał jak hak. Rotmistrz wciąż krzyczał:
Zabijcie ranne konie. Zrywał z siebie ogień.
Ci z boku nie wytrzymali: strzelali na oślep,
też do tych, co chcieli się poddać. Byli zbyt blisko.

Nocą wysoki księżyc.
Wokół żaru jedliśmy chude mięso,
które miało nas wzmocnić.

Poza życiem

W nocy budzi mnie kaszel córki.
Przy drodze jasny od lampek wysoki świerk.
Język nazywa, czego jeszcze nie zna.
Czyściec i ludzie śpią.

Jutro czeka mnie długa podróż.
Widzę, jak pisząc, staję obok siebie, poza słowem.
Zima. Umieramy w raju. Wszyscy czekaliśmy,
żeby dopłynąć.

Wyspa

Nad wodą wspiąłem się wysoko
na wierzbę, przygarnąłem do siebie
pień i zamknąłem oczy.

Drzewo mną porusza,
świat jak trampolina liścia,
drżący i obszarpany.

W nim byłem tak małą rybą,
że nie złapała mnie żadna sieć.
Nikt nie rozdzielił mnie z rzeką.

Książka dostępna w księgarni

